

BARTOSZ MIKA
Poznań

E-PRYWATNE VERSUS CYBER-PUBLICZNE. CZY INTERNET JEST DOBREM WSPÓLNYM?

W połowie marca 2009 r. obchodziliśmy dwudziestą rocznicę powstania World Wide Web w formie, w jakiej znamy ją dziś¹. Uniwersum WWW tymczasem uległo olbrzymim zmianom, zmieniając jednocześnie świat wokół. Technologie informacyjne rozwijały się oczywiście dużo wcześniej, jednak powstanie uniwersalnej, ogólnodostępnej sieci można śmiało nazwać momentem przełomowym w historii techniki, a na pewno szeroko rozumianego IT. Jednocześnie schyłek XX i początek XXI w. to czas dynamicznego rozwoju wielu innych dziedzin. Upowszechniło się przekonanie, że cywilizacja Zachodu stała się cywilizacją nauki, techniki, informacji i wiedzy. Niestety, przedstawiciele nauk społecznych, do których zalicza się również niżej podpisany, znajdują się na obrzeżach głównego nurtu życia akademickiego. Najważniejsze, budzące największe nadzieje projekty badawcze realizowane są na polu fizyki (akcelerator), biologii i medycyny (badania nad genomem), astronomii, techniki (nanotechnologie) najczęściej bez najmniejszego udziału reprezentantów nauk społecznych. Prawnicy, lingwiści, teolodzy i etycy, czyli przedstawiciele szeroko pojętej humanistyki, wpływają na wymienione

dziedziny wiedzy, ale już oddziaływanie socjologów, psychologów lub ekonomistów akademickich jest raczej niezauważalne. Z żalem trzeba dodać, że dotyczy to zwłaszcza rodzimych uczonych.

Próbę pozytywnego przewyciężenia tych tendencji podjęła Justyna Hofmokl, autorka niezwykle interesującej publikacji *Internet jako nowe dobro wspólne*². Jest ona nie tylko naukowcem zajmującym się refleksją nad szeroko pojętym internetem, ale również — że użyję niepopularnego ostatnio w Polsce słowa — działaczką tego obszaru, współzałożycielką i koordynatorem projektu Creative Commons Polska. Podczas własnych przygód z blogosferą zdążyłem dowiedzieć się, że jest również autorką blogu na temat współczesnej kultury sieci (Web 2.0) prowadzonego we współpracy z tygodnikiem „Polityka”³. Praktyczne doświadczenia autorki wraz z bardzo dobrym warszatem teoretycznym powodują, że jej książka jest w naszej debacie naukowej wyjątkowa. Być może użycie określenia pionierska byłoby zbyt daleko idące, ale z pewnością przeciera ona nowe szlaki w naukowym dyskursie odnoszącym się do nowoczes-

Adres do korespondencji: bartosz.mika@wshhd.pl

¹Zob.: <http://info.cern.ch/www20>

²Justyna Hofmokl, *Internet jako nowe dobro wspólne*, Wydawnictwa Akademickie i Profesjonalne, Warszawa 2008, stron 248.

³<http://kultura20.blog.polityka.pl>

nych technologii. Należy pochwalić Wydawnictwo Akademickie i Profesjonalne za włączenie do swojego cyklu wydawniczego *Cyberkultura Internet Społeczeństwo pracy młodej polskiej autorki*. Chwała mu, że dopuszcza do debaty na temat fenomenu nowoczesnych technologii także rodzimych autorów. Pozostaje mieć nadzieję, że głosy w tej dyskusji, takie jak publikacja Justyny Hofmokl, nie zostaną zignorowane i staną się pretekstem do poważnej, być może nie tylko polskojęzycznej, dyskusji na temat współczesności, nowoczesnych technologii i roli, jaką w badaniu tych sfer i oddziaływaniu na nie mają do odegrania socjologowie.

Zanim jednak do tego dojdzie, zajmijmy się walorami i słabymi stronami książki *Internet jako nowe dobro wspólne*. Justyna Hofmokl stawia sobie ambitny cel opisu całokształtu zjawisk związanych z internetem za pomocą kategorii zaczerpniętych z nowej analizy instytucjonalnej, dążąc jednocześnie do uzyskania odpowiedzi na pytanie: Czy internet jako taki może być rozpatrywany jako klasyczne dobro wspólne? Od razu możemy zdradzić, że autorka odpowiada na to pytanie negatywnie, stwierdzając, że dotychczasowy aparat pojęciowy instytucjonalistów, nawet rozszerzony o pojęcia wypracowane w ramach badań nad CPR (*common-pool resources*), nie jest wystarczający i nie pozwala analizować internetu jako dobra wspólnego. Pomińmy chwilowo zasadność traktowania internetu jako pojedynczego „zasobu”, wróćmy do tego problemu dalej. Zastanówmy się chwilę, dlaczego autorka poprzestaje na takiej konstatacji, nie starając się pozytywnie przezwyciężyć — bardzo trafnie skądinąd zdefiniowanych — słabości nowej ekonomii instytucjonalnej. Mimo świetnej pracy teoretycznej, szerokiej — nie tylko naukowej — wiedzy na opisywane tematy Justyna Hofmokl nie wychodzi poza wskazanie słabości teorii, którą się posługuje, nadal kurczowo trzymając się jej terminologii. Trop na drodze do odpowiedzi na postawione pytanie można znaleźć wśród wyliczonych przez autorkę w pierwszym rozdziale pracy socjologicznych i ekonomicznych podejść do problemu dóbr wspólnych. Wśród różnych ujęć omawianego tematu Justyna Hofmokl wymienia również ekonomię marksowską, jednak poświęca

jej niecałą stronę tekstu, posługując się do tego mało naukową interpretacją Marksa. Wskazuje na ideologiczno-praktyczną konsekwencję wynikającą z założeń materialistycznej teorii społeczeństw, zupełnie pomijając przy tym centralną rolę własności w kształtowaniu stosunków społecznych. Takie podejście wydaje się nie tylko nieuzasadnione, ale i teoretycznie szkodliwe. Pojęcie własności sił wytwórczych i siły roboczej można bowiem doskonale zastosować do problemu dóbr wspólnych, w tym również zasobów internetu. Gdyby autorka zagłębiła się w dzieła Marksa oraz jego następców, odkryłaby na przykład rozwijaną przez Stanisława Kozyra-Kowalskiego⁴ koncepcję donacyjnego pojmowania własności, pozwalającą skutecznie, jak sądzę, pokonać kłopoty, na jakie trafiła. Idąc dalej tym tropem, możemy dodać, że nawiązując do Marksa — lub kogoś z jego następców, skoro ktoś czuje się niekomfortowo, posługując się dorobkiem twórcy materializmu historycznego — można było pokusić się o pewne elementy analizy konfliktu. Autorka wprowadzi sygnalizuje problem konfliktu między zwolennikami oprogramowania o otwartym kodzie źródłowym a koncernami dążącymi do ochrony praw własności intelektualnej, ale nie wychodzi poza zjuridyzowaną relację opartą na wyliczeniu aktów prawnych i rozwiązań technicznych. Tymczasem konflikt wokół otwartości całego internetu, nie tylko oprogramowania, staje się obecnie coraz bardziej widoczny i doniosły. Zyskał on również swego rodzaju instytucjonalizację wyrażającą się w starcie w wyborach do Parlamentu Europejskiego Partii Piratów (dodajmy, starcie skutecznym, gdyż dwóch jej reprezentantów zasiadło w ławach w Brukseli).

Wróćmy do istotnego przecież dla autorki problemu własności — konflikt między pracującymi w wolnym czasie programistami a wielkimi korporacjami dążącymi do monopolizacji lub oligopolizacji rynków może być z powodzeniem interpretowany jako konflikt o podłożu ekonomicznym, w którym własność kolektywna przekształcana jest we własność prywatną. Na ten

⁴S. Kozyr-Kowalski, *Socjologia, społeczeństwo obywatelskie i państwo*, Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 2004.

aspekt omawianego zagadnienia zwracali uwagę — dalecy od marksizmu — Tapscott i Williams⁵. Pisali, że firmy stosujące globalną współpracę zapośredniczoną w nowoczesnych technologiach zyskują znacznie więcej niż pojedynczy członkowie tych projektów. Dlatego jedną z głównych barier rozwoju — mówiąc językiem autorów — prosumpcji i partnerstwa może stać się pułapka polegająca na tym, że uczestnicy globalnych inicjatyw zorientują się, iż ich wysiłek przyczynia się do gigantycznego bogactwa nielicznych. Starając się uniknąć takiego scenariusza, niektóre firmy, jak choćby Amazon.com, wprowadzają mechanizmy pozwalające współpracownikom i użytkownikom partycypować w ich zyskach. Rzecz jasna, znaczną część inicjatyw w sieci jej eksploatatorzy podejmują, jak słusznie argumentuje Hofmokl, bez związku z oczekiwaniami finansowymi. Chodzi jednak o coś innego — napięcie między kontrolą internetu a swobodą i otwartością dostępu może być z powodzeniem analizowane w kategoriach własności rozumianej jako korzystanie oraz za pomocą pojęcia konfliktu odnoszącego się do tej własności.

Kończąc ten wątek warto zaznaczyć, że gdyby autorka odwołała się do wspomnianych wyżej propozycji, uzyskałaby narzędzie teoretyczne pozwalające dostrzec różnice między poszczególnymi kategoriami użytkowników dóbr. Inna jest bowiem ekonomiczna — choć nie tylko — pozycja internauty studiującego dane dostępne dzięki Wikipedii, inna użytkownika edytującego hasła, a jeszcze inna zatrudnionego na stałe redaktora. Różnią się oni nie tylko poziomem dostępu do zasobów internetowej encyklopedii, ale bywa, że również pozycją społeczną i ekonomiczną. Podobnie nie są sobie równi programiści pracujący przy poszczególnych projektach czy miłośnicy książek odwiedzający serwis biblionetka.pl oraz pracownicy tego portalu. Jeżeli posłużymy się donacyjną teorią własności będziemy skłonni stwierdzić, że użytkownicy wszystkich wspomnianych serwisów są ich

współwłaścicielami, jednak ich udział we własności jest bardzo różny. Warto przy tym zauważyć — wrócimy jeszcze do tego — że informacja traktowana jako zasób sama w sobie nie ma charakteru doniosłego gospodarczo. Entuzjaści tak zwanego społeczeństwa wiedzy podkreślają na każdym kroku, jak istotnym zasobem jest dziś informacja, tymczasem już Maks Weber twierdził, że dany obiekt staje się dobrem w ekonomicznym sensie dopiero wówczas, gdy zostaje użyty w celu pomnożenia bogactwa. Przykładowy koń staje się dobrem ekonomicznym dopiero, gdy użyjemy go jako siły pociągowej, nośnej itp. Podobnie informacja czy wiedza jedynie zastosowana w celu pomnożenia bogactwa staje się obiektem ekonomicznym, zasobem.

Stosując teorię własności można również z łatwością ominąć pułapkę traktowania państwa jako abstrakcyjnego konstruktu, a w najlepszym razie zbioru trudnego do odtworzenia konglomeratu instytucji. Dla socjologa państwo — w dziedzinie własności — to nic innego jak zbiór poszczególnych jednostek dysponujących własnością wspólną. Tylko prawnik może ujmować państwo jako właściciela (podobnie jak inne, tak zwane podmioty prawne), socjolog widzi w tym miejscu konkretne jednostki mające taki a nie inny dostęp do dobra, korzystające z niego w określonym zakresie. W takim ujęciu inaczej wyglądają słowa autorki: „w tradycji analizy dóbr publicznych [...] podstawowy dylemat wynikający z niemożliwości wykluczenia nieuprawnionych użytkowników prowadzi do wniosku o nieuchronnej potrzebie angażowania się państwa w produkcję i dystrybucję tego rodzaju dóbr. Tymczasem bardzo wiele internetowych dóbr wspólnych [...] powstaje w wyniku oddolnych inicjatyw i żadnej mierze nie wymaga interwencji państwa” (s. 229). Jeśli jednak pamiętamy, że państwo to tylko wyraz własności kolektywnej, a ostatecznym beneficjentem każdej własności jest jednostka ludzka, to równie dobrze internetowe dobra wspólne mogą wymagać jakiegoś rodzaju wspólnotowego nadzoru. Na przykład edycja kontrowersyjnych haseł w Wikipedii (np. hasło Adolf Hitler) została zablokowana lub poddana bardzo precyzyjnej kontroli. Dobrym przykładem tego wchodzenia internetowych wspólnot w bu-

⁵D. Tapscott, D. A. Williams, *Wikinomia. O globalnej współpracy, która zmienia wszystko*, Wydawnictwo Akademickie i Profesjonalne, Warszawa 2008.

ty tak rozumianego państwa jest epizod, który miał miejsce po meczu piłkarskim Austria – Polska, podczas mistrzostw Europy w 2008 r. Polscy fani rozgoryczeni decyzją sędziego Howarda Webba umieścili w wikipedii hasło opisujące arbitra w niewybrednych słowach. Administratorzy serwisu zareagowali w niecałe dwie minuty. Natychmiast usunięto obraźliwe wpisy i zastąpiono je właściwą biografią sędziego. W ten sposób wspólnota beneficjentów własności zareagowała na nieuprawnione, szkodliwe dla większości, użycie tej własności. Podobnie działa aparat państwowy, kiedy dobra wspólne zostają wystawione na szwank (np. włamanie do baz danych poszczególnych resortów itp.). Jeśli dostrzeżemy tę analogię, to kategoryczne odróżnianie państwa od innych wspólnot przestanie być takie oczywiste. Rzecz jasna, wciąż mamy tu do czynienia z wieloma różnicami, jednak wydaje się, że dla autorki najważniejszy jest nadzór nad dobrem wspólnym. W przypadku dóbr internetowych ich użytkownicy oddolnie strzegą swoich zasobów, w przypadku klasycznych dóbr wspólnych konieczna jest interwencja państwa. Jednak wedle przyjętego tu punktu widzenia za każdym razem własność zbiorowa chroniona jest przez uczestników za pośrednictwem pewnego rodzaju instytucji (z zachowaniem wszelkich proporcji). Różnica polega jedynie na liczbie uczestników i zakresie kompetencji. Niewielkie grupy internautów czy programistów nie potrzebują koordynacji, uczestnicy wzajemnie sprawdzają efekty swoich prac. Duże projekty wymagają już minimum nadzoru, na przykład redaktorów, jak w przypadku Wikipedii, najbardziej aktywnych programistów, jak w przypadku Linuxa, zarządców stron, jak w przypadku portali aukcyjnych (Steven Weber w swojej książce poświęconej oprogramowaniu o otwartym kodzie źródłowym charakteryzuje kilka modeli zarządzania dużymi projektami prowadzonymi z wykorzystaniem internetu⁶). Przypadek państwa jest o tyle szczególny, że własność wspólna obywateli dotyczy szeregu różnych dziedzin, od opieki zdrowotnej po prace sanitarno-porządkowe. Żadna zbiorowość sieci

nie ma tak szerokich kompetencji, dlatego zarówno kontrola nad własnością, jak i oddolna troska o nią jest tu łatwiejsza. Nie zmienia to jednak faktu, że w obu przypadkach mamy do czynienia z pewną wspólnotą i, co ważniejsze, własnością wspólną.

Innym przykładem niewykorzystania przez autorkę wszystkich wątków wywodu może być jej konstatacja dotycząca *homo oeconomicus*. Na stronie 186 pisze ona, że specyficzne warunki organizacyjno-techniczne powodują, że budowa dóbr wspólnych w obszarze internetu nie musi oznaczać polemiki z partykularną postawą jednostki. Krótki czas dzielący produkcję od użytkowania powoduje, że można angażować się we współpracę z innymi oczekując szybkich efektów. Trzymając się założeń koncepcji *homo oeconomicus*, aktor społeczny dokonujący takiego wyboru nadal zachowuje się egoistycznie. Wprawdzie podmiot, o którym mowa, przeznacza część własnych zasobów na rzecz wspólnoty, ale czyni to tylko dlatego, że liczy na szybkie zaspokojenie potrzeby (na przykład szybkie powstanie darmowego programu lub dynamiczny rozwój ulubionej witryny internetowej). Wydaje się jednak, że autorka zbyt szybko przyjmuje prezentowany punkt widzenia. Być może w jej pracy nie było miejsca na szczegółową polemikę z założeniami ekonomii neoklasycznej (i tymi, którzy z niej korzystają). W takim wypadku należało otwarcie to przyznać, tymczasem Hofmokr przyjmuje założenie, że analiza internetowych dóbr wspólnych nie wchodzi w kolizję z doktryną *homo oeconomicus*, a przynajmniej nie do tego stopnia, by wymagało to szerszych wyjaśnień. Istnieją jednak przesłanki pozwalające stwierdzić, że taka postawa jest zwyczajnie błędna. Po pierwsze, często przywoływana przez autorkę Elinor Ostrom poświęciła wiele czasu i środków, aby wykazać, jak ograniczone i w gruncie rzeczy nieprzydatne są założenia ekonomii głównego nurtu, w tym również klasyczny obraz *homo oeconomicus*. Wprawdzie neoinstytucjonalizm, również nurt CPR, wykorzystuje zmodyfikowany model ekonomii klasycznej, wprowadza w nim jednak istotne modyfikacje, przesuwając akcent z indywidualnego podejmowania decyzji na decyzje powstające pod wpływem otoczenia i we współpracy z nim⁷. Po drugie, autor-

⁶S. Weber, *The Success of Open Source*, Harvard University Press, Cambridge 2004.

ka będąca przecież socjologiem, zna zapewne ustalenia Maksa Webera, który wyróżnił cztery rodzaje orientacji w działaniach społecznych i wskazał, że te celoworacjonalne występują najczęściej — wszak nie zawsze — w gospodarce. Internet jako — zgodnie z ujęciem Hofmoka — dobro wspólne jest przestrzenią działalności nie tylko ekonomicznej, ale również czysto społecznej, edukacyjnej, psychologicznej, emocjonalnej itd. Jeśli więc potraktujemy go w całości jako obiekt ekonomiczny, to powinniśmy analizować tylko wąską część aktywności z nim związanej, tę właśnie, która traktuje go jako dobro w sensie gospodarczym. Jeśli jednak, zgodnie z intencjami autorki, traktujemy internet szerzej, to musimy uwzględnić inne orientacje w działaniu jednostek (do pytania, czy w takim wypadku nadal możemy mówić o nim jako o rodzaju dobra, wrócimy). Po trzecie wreszcie, szereg empirycznie obserwowanych działań zorientowanych gospodarczo odbywających się w internecie realnie empirycznie podważa założenia *homo oeconomicus* i nie powinno się przechodzić nad tym faktem bez komentarza. Na przykład badania nad zaufaniem wykazały, że użytkownicy allegro.pl wolą ponieść wyższe koszty transakcji (zapłacić więcej za produkt) w zamian za wyższe poczucie bezpieczeństwa. Po czwarte, autorka sama pisze o ekonomii daru w internecie. Jeśli dobrowolne przekazywanie sobie wzajemnie zasobów (na przykład mocy obliczeniowej, własnych odkryć) ma charakter raczej kolektywny niż indywidualny, to nie może być mowy o utrzymaniu w mocy założeń *homo oeconomicus*. Szkoda zatem, że Justyna Hofmoka nie była w tym miejscu konsekwentna i nie zmierzyła się z fasadowością wspomnianego ujęcia teoretycznego. Na jej korzyść przemawia fakt, że choć nigdzie nie wyrażona wprost, to jednak pewna polemika z założeniami *homo oeconomicus* pojawia się w książce. Czytając poszczególne rozdziały, zwłaszcza te poświęcone neoinstytucjonalizmowi, trudno oprzeć się wrażeniu, że Hofmoka jest entuzjastką społecznej aktywności w internecie, a ta ostatnia często przeczy kondycji współczes-

nego człowieka opartej na działaniach partykularnych.

Kolejną ledwie dotkniętą kwestią są zagrożenia związane z użytkowaniem sieci. Justyna Hofmoka stwierdza, że dokładne analizowanie tej problematyki wykracza poza ramy jej opracowania. Oczywiście, ma prawo do takiego stwierdzenia, jednak działa to na niekorzyść całości. Zrozumiałe, że autorka unika dokładnego opisu wszystkich problemów, jakie stwarza internet, jest to przecież temat na odrębną publikację, mogła się jednak pokusić o dokładniejszą analizę przynajmniej jednego z wątków — szarej strefy internetu. Medium to przez pozory anonimowości zapewnionej użytkownikom stało się obszarem wielu przestępstw i wykroczeń o charakterze gospodarczym (nierejestrowana sprzedaż przez internet, handel zakazanymi lub reglamentowanymi towarami itp.). Ten fragment ciemnej strony internetu powinien zainteresować autorkę przede wszystkim ze względu na znaczenie dla oceny jego funkcjonowania jako dobra wspólnego. Najczęściej autorzy zajmujący się problematyką szarej strefy skłonni są definiować ją w odniesieniu do norm prawa, tymczasem wydaje się, że takie podejście zawęża i zaciemnia problem, gdyż istota problemu leży właśnie w nadmiernej jurydycacji. Dla badacza rzeczywistości społecznej ocena normatywna, moralna czy prawna zjawiska ma ograniczone znaczenie. Jeśli pragniemy opisać społeczne lub etyczne skutki jakichś zjawisk, to stanowisko normatywne jest do zaakceptowania, jeśli zaś interesują nas, mówiąc językiem Durkheima, fakty społeczne, to ich ocena może, jak w omawianym przypadku, przeszkadzać poznaniu rzeczywistości. Jak bowiem zająć stanowisko teoretyczne wobec takich przejawów gospodarowania, które nie mają sankcji prawnej czy nawet moralnej? Należą one czy nie należą do szarej strefy? Doskonałym przykładem, czego nie zauważa autorka recenzowanej książki, jest właśnie dynamiczny świat internetu. Jak opisać, posługując się ujęciami odwołującymi się jedynie do doktryny prawnej, fenomen internetowych społeczności wymieniających darmowo dobra i usługi pozostające w dyspozycji poszczególnych ich członków? Na gruncie takiego podejścia problemem może być nawet opis

⁷E. Ostrom, J. M. Walker, T. Yamagishi, *Reputability, Trust, and the Sense of Control*, „Rationality and Society” 1999, t. 11, s. 27–46.

internetowego piractwa, stanowiącego przecież naruszenie własności intelektualnej.

W tym miejscu pojawia się przestrzeń dla opartego na kategorii własności podejścia do szarej strefy w internecie. Mamy tu na myśli rozwijane szczególnie przez Jacka Tittenbruna pojęcie lumpenwłasności, w tym lumpenwłasności siły roboczej oraz lumpenwłasności rzeczowych środków zaopatrywania. W tym obszarze, istniejącym poza domeną społecznego podziału pracy, można odnaleźć odpowiedniki większości klas istniejących w obrębie gospodarki legalnej; począwszy od lumpenproletariatu (rozumianego nieco inaczej niż tradycyjne), poprzez lumpendrobnomieszczactwo po lumpenburżuazję⁸. Naczelnym zobiektywizowanym (w przeciwieństwie do subiektywnego argumentu mówiącego o braku społecznej czy prawnej akceptacji) wskaźnikiem takich stosunków jest partycypacja przez lumpenpracowników i lumpenwłaścicieli we własności wspólnej, najczęściej fiskalnej, przede wszystkim państwowej, bez ponoszenia nakładów na jej utrzymanie. Stanowisko to można odnieść do innych wspólnot. Tym samym zagadnienie lumpenwłasności zbliża się do znanego i niejednokrotnie przytaczanego przez autorkę pojęcia jazdy na gapę. Zbigniew Galor dowodził, że oba ujęcia teoretyczne są komplementarne, ich istotą jest partycypacja przez lumpenwłaściciela (gapowicza) we własności kolektywnej przy jednoczesnym zaniechaniu ponoszenia kosztów jej utrzymania⁹. Justyna Hofmokl odnosi się często do tego problemu, wskazując na zagadnienie nieuprawnionego i nadmiernego korzystania z dóbr wspólnych (problem gapowicza i dylemat wspólnego pastwiska). Podkreśla przy tym, że przypadek internetu traktowanego jako dobro wspólne jest szczególny, gdyż cechuje go wysoki potencjał dzielenia i często niemożliwość wykluczenia oraz nierywalizacyjna konsumpcja. W związku z tym możemy tu mówić raczej o pozytywnym wpływie „gapowicza” na ca-

łą społeczność, ponieważ sama jego obecność przynosi profity (np. strony często odwiedzane chętniej pozyskują reklamodawców itp.). Przy tym użytkownik, nawet jeśli nie ponosi nakładów na utrzymanie własności wspólnej, może korzystać z jej zasobów nie ograniczając dostępu do nich innym (fakt, że jedna osoba przegląda stronę lub pobiera plik, nie przeszkadza innym użytkownikom ani nie ogranicza im możliwości dalszego korzystania).

Stanowisko Hofmokl ma kilka konsekwencji teoretycznych. Po pierwsze, należy zauważyć, że autorka nie bierze pod uwagę tego, co nazwaliśmy stosunkami lumpenwłasności, które w internecie występują dość często. Oczywiście, musimy odróżnić stosunki, które dotyczą dóbr internetu, od tych, które dotyczą innych zasobów. Te drugie to relacje lumpenwłasnościowe, które zachodzą dzięki wykorzystaniu internetu, ale dotyczą innych typów własności zbiorowej (np. państwowej, lokalnej czy międzynarodowej), jak choćby handel zagrożonymi gatunkami zwierząt lub nielegalny obrót dziełami sztuki w internecie. Jednak stosunki lumpenwłasnościowe mogą powstawać również w samym internecie, do tych najbardziej znanych należą ataki hakerskie lub wymiana plików w sieciach p2p. O tych ostatnich autorka wspomina kilkakrotnie, nie zauważając jednak, że one również generują pewien rodzaj lumpenwłasności. Ciekawym przykładem tego typu stosunków są także praktyki sprzedaży na portalach aukcyjnych karnetów wstępu na koncerty lub wydarzenia sportowe. Sprzedawcy biletów, potocznie nazywani konikami, oferują wstęp na imprezę po cenie nadrukowanej na bilecie (czyli zgodnie z obowiązującym prawem), jednak do aukcji dołączają przedmiot (choćby szalik) wart, według nich, kilkaset złotych. Tym sposobem unikają kolizji z prawem i zarabiają w sposób nieuprawniony, szkodząc jednocześnie organizatorom koncertu, właścicielom portalu internetowego, a także uczciwym fanom, którzy chcieli nabyć bilet po niższej cenie. Taki sprzedawca jest bez wątpienia gapowiczem lub mówiąc precyzyjniej — lumpenwłaścicielem. Oczywiście, można powiedzieć, że jego działalność nie wpływa bezpośrednio na dobro wspólne, jakim jest portal aukcyjny (może nawet wpływa pozytywnie

⁸J. Tittenbrun, *Małe jest piękne?*, My Book, Szczecin 2009.

⁹Z. Galor, *Lumpenwłasność: szara strefa i margines społeczny*, Wydawnictwo Akademii Rolniczej im. Augusta Cieszkowskiego, Poznań 2006.

nie, przyciągając nowych użytkowników), jednak takie zjawiska również należy brać pod uwagę przy opisie internetu jako dobra wspólnego. Pokazują one, jak niektórzy użytkownicy stają się właścicielami dzięki możliwościom, jakie daje internet. Po drugie, stanowisko Hofmokał implikuje jeszcze donioślejszą konstatację. Wspomniano, że mimo zdefiniowania słabości nowej ekonomii instytucjonalnej autorka dość konsekwentnie trzyma się wypracowanej przez tę teorię terminologii. Robi jednak jeden wyjątek, odnajdując dowody wskazujące, że internet nie jest klasycznym dobrem wspólnym, stwierdza, iż język wspomnianej szkoły teoretycznej nie przystaje do zdefiniowanych przez nią potrzeb. Rzecz jasna, autorka ma takie prawo, jednak dopuszczalna jest jeszcze jedna prostsza interpretacja — internetu nie można traktować jako pojedynczego dobra wspólnego. Traktując to medium jako obszar działalności gospodarczej, możemy z powodzeniem dowieść, że nie tylko nie jest on klasycznym dobrem wspólnym, ale że w ogóle nie możemy go traktować jako jedno dobro, jeden zasób lub jeden obiekt własności. Staje się on obiektem gospodarczym, jak pisał Maks Weber, dopiero za sprawą odpowiedniego wykorzystania. Pewne obszary internetu mogą nosić znamiona dóbr wspólnych, zwłaszcza te, które autorka charakteryzuje jako warstwę logiczną, jednak inne zupełnie do tej kategorii nie pasują (warstwa fizyczna i część warstwy treści). Traktując całokształt opisanych przez nią zjawisk jako jeden problem musimy przyjąć, że internet nie jest dobrem wspólnym.

Wywód teoretyczny zawarty w książce *Internet jako nowe dobro wspólne* ma jeszcze jedną wadę. Można odnieść wrażenie, że autorka popełnia jeden z błędów często spotykanych w rozważaniach nad tak zwanym społeczeństwem wiedzy. Można sądzić, że podporządkowuje wszystkie aspekty społecznej aktywności człowieka osiągnięciom naukowo-technicznym. Daje temu dowód, pisząc o bezpośrednim wpływie rozwiązań technicznych na działanie społeczeństw. Tymczasem, co można wykazać szczególnie trafnie na przykładzie gospodarki, droga wynalazku od jego powstania do jego zastosowania jest zazwyczaj zapośredniczona przez inne niż nauka — mówiąc językiem Parsonsa

— systemy społeczne. Na przykład nowe wynalazki z zakresu informatyki nie wpływają bezpośrednio na działania ludzi, wpływ ten jest zapośredniczony przez gospodarkę, która musi zaadaptować dane rozwiązanie, aby mogło ono trafić do ostatecznych odbiorców. Nie może być mowy o zawłaszczeniu przez naukę gospodarki ani w ogóle całego systemu społecznego. Można powiedzieć więcej — to gospodarka zaczyna zawłaszczać naukę, coraz chętniej korzystając z jej osiągnięć i przekształcając ją w etap działań pośrednio produkcyjnych (czy za Oskarem Lange — koncepcyjnych). Od niedawna dopiero efekt prac uczonych stanowi obiekt zainteresowania firm komercyjnych. Dziś korporacje ingerują w wysiłki uczonych niemal na każdym etapie prac badawczych, angażują własnych badaczy, organizują parki techniczne itp. Obserwując otaczający nas świat łatwiej zauważymy, że nauka uległa komercjalizacji (czyli została zdominowana przez gospodarkę) niż że gospodarka została poddana regułom nauki. Autorka zdaje sobie pośrednio z tego sprawę, wskazując na przykład na spór o komercjalizację przestrzeni internetu. Walka ta jest tak zażarta również z tego powodu, że osiągnięcia techniczne umożliwiające dalszy rozwój sieci, szczególnie — używając pojęć zaadaptowanych przez autorkę — w warstwach technicznej i logicznej, stanowią niezwykle intratny obszar generowania zysku wielkich korporacji. W tych obszarach trudno mówić o skutecznej obronie dóbr wspólnych, mamy tu raczej do czynienia z oligopolizacją poszczególnych obszarów rynku. Dowodów nie musimy daleko szukać, wystarczy wizyta w sklepie oferującym sprzęt komputerowy. W bardzo wielu dziedzinach zaczynają dominować dwie lub trzy firmy. Kiedy spytamy sprzedawcę o notebook, poleci nam urządzenia kilku światowej sławy producentów. Jednak przyglądając się wyposażeniu zauważymy, że wszystkie te przenośne komputery wyposażone są w procesory jednej z dwóch dominujących na rynku firm, karty graficzne jednej z dwóch firm, system operacyjny zawsze tej samej globalnej korporacji itd. W pewnym sensie problem ten jest przejawem wcześniej wspomnianego konfliktu wokół zysków generowanych przez sieć. Liczni użyt-

kownicy generują gigantyczne zyski dla nielicznych. Trudno tu doszukać się przestrzeni dla dóbr wspólnych.

Na koniec warto również — półżartem — wytknąć autorce, że choć sama wielokrotnie namawia do studiów empirycznych, jej praca koncentruje się głównie na przywoływaniu teoretycznych ustaleń na interesujący ją temat. Justyna Hofmokl pisze o analizie empirycznej, jednak charakterystyka poszczególnych warstw internetu to przede wszystkim przegląd literatury i danych ekonomicznych. Niewiele znajdziemy tu odniesień do badań „z krwi i kości”. Pytanie tylko, czy dlatego, że tak niewiele ich powstaje, czy też dlatego, że ich wyniki nie są warte przywołania. Niezależnie od odpowiedzi to oczywiście nie autorki wina, że aktywność socjologów na polu badań internetu ogranicza się do eseistyki i jedynie od święta wkracza na pola poważnej empirii. Tym bardziej warto pochwalić Justynę Hofmokl, że zdobyła się na wysiłek przywołania tych niewielu opracowań, do których dotarła, do tego przeprowadziła nas przez

większość istniejącej literatury i — mam nadzieję skutecznie — zachęciła czytelników do podejmowania prób badań. Mimo powyższych uwag krytycznych, które miały jeden wspólny cel — wskazanie alternatywnej szkoły teoretycznej, która pomoże skuteczniej opisać zjawiska gospodarcze występujące w internecie — trzeba powiedzieć, że omawiana książka zdecydowanie wyróżnia się na tle innych tego typu publikacji. Niewątpliwie włącza się do dyskusji nad nowymi technologiami równie owocnie co najbardziej znane w Polsce opracowania autorów zagranicznych. Co więcej, autorka jako jedna z niewielu zdobyła się na *stricte* socjologiczną analizę internetu, nie odwołując się do zmiennych kulturowych i nie nadużywając wątplych teoretycznych pojęć w rodzaju kapitału społecznego czy społeczeństwa wiedzy. Szacunek budzi również bogactwo wykorzystanych źródeł, zarówno tych internetowych, jak i drukowanych. Cały wywód sprawia wrażenie przemyślanego i dopracowanego, do tego bez wątplenia cechuje się dużą spójnością i przejrzystością.